

Polnische Legionen

Mróz dnia 9 stycznia 1940 roku był siarczysty. Zaspy na szosie i ostry wiatr ze wschodu, dały się nam porządnie we znaki. Icho odziani, przemarznięci do szpiku kości, niezbyt sprawnie gramoliliśmy się z sań, ponaglani do pośpiechu. Sanie zatrzymały się przed niedużą kamienicą z czerwonej cegły przy ul. Dreszera w Chełmie. Tutaj mieściło się gestapo. Popchnięty kopniakiem, znalazłem się wewnątrz budynku. Wąskimi schodami weszliśmy na pierwsze piętro. Ustawiano nas rzędem pod ścianą nakazując milczenie. Zza ścian dochodził stukot maszyn do pisania i gardłowe, głośnie, przeplatane śmiechem głosy Niemców.

Ustawiono nas rzędem pod ścianą, nakazując milczenie. Obok mnie stał Janek Sitarz, następnie Kazik Olichwier, Antek Wesołowski, Adolf Kusy¹ i Mikołaj Tałanda – nasz wychowawca, nauczyciel. Staliśmy dość długo. Byłem zaniepokojony i trochę ciekawy, co z nami zrobią. Domyślaliśmy się, że sprawa dotyczy naszej eskapady na Węgry oraz może mieć coś wspólnego z przynależnością do harcerstwa.

Zaczęto wywoływać nas po nazwisku. Pierwszy za drzwiami pokoju znikł Tałanda. Długi czas nic nie było słyhać, później krzyk, klątwy i monotonne postukiwanie maszyny. Po dwu godzinach, może później, wywołano Adolfa Kusego. I znów oczekiwanie. Trwało to cały dzień. Gdy przyszła kolej na mnie, był już mrok. Wepchnięty do pokoju, ukloniłem się i stanąłem niezdecydowany przy drzwiach. W pokoju było dwu oficerów w mundurach. Jeden w czarnym, z opaską ozdobioną swastyką na rękawie, drugi w normalnym mundurze niemieckim z odznakami SS. Dalej siedział żołnierz przy maszynie do pisania, obok stał jakiś cywil.

Funkcjonariusz w czarnym mundurze ruchem ręki kazał mi zbliżyć się do stołu i zapytał, czy mówię po niemiecku. Cywil to przetłumaczył. Odparłem, że nie znam niemieckiego. Po tym wstępie ustalono moje dane personalne. Później padło pytanie:

- Do jakiej organizacji należysz?
- Przed wybuchem wojny należałem do harcerstwa.
- Czy przechodziłeś szkolenie specjalne, gdzie?

¹ Cała rodzina nosząca nazwisko Kusy tj. Andrzej Kusy (ojciec) i synowie: Adolf, Zdzisław i Tadeusz po wojnie zmienili nazwisko na Z a p o l s k i.

Następnie interesowano się, kto urządzał obozy, kto je prowadził, co tam robiłem. Mówiłem, że uczyliśmy się śpiewać, organizować zajęcia z młodszymi chłopcami, chodziliśmy na wycieczki i biwaki. Wówczas padło znów pytanie:

- Jaką pełniłeś funkcję w harcerstwie?
- Byłem drużynowym.
- Co robiłeś we wrześniu i po zakończeniu działań wojennych?
- Byłem z matką w domu – odpowiedziałem.

W tym momencie oficer w czarnym mundurze wyszedł zza stołu i trzasnął mnie w twarz. Zamarłem z przerażenia. Zrozumiałem, że Niemcy wiedzą więcej niż przypuszczałem. Gestapowiec podsunął mi pod nos koniec rzemiennego pejcza i rzucił przez zęby:

- Polnische Bandit!

Następnie zawołał:

- Hans!

Gdy z sąsiedniego pokoju wyszedł żołnierz, oficer kopnął mnie i popchnął w jego stronę. W sąsiednim pokoju stali pod ścianą moi koledzy. Tałanda miał opuchniętą twarz, Janek Sitarz przeciętą dolną wargę. Po chwili wszedł oficer, który asystował przy przesłuchaniu i kazał nam schodzić na dół. Przed kamienicą stały sanie „uzbrojone” w długi wasąg wymoszczony słomą w który kazano nam usiąść nogami do wewnątrz, zakazując rozmawiania. Oficer usiadł z tyłu, dwóch żołnierzy z przodu. Wszyscy trzej zwróceni twarzami w naszą stronę, mieli odpięte kabury pistoletów.

Zastanawiałem się dokąd nas wiozą. Chełm znałem nieźle, lecz nie na tyle, by się orientować w jakim kierunku jedziemy. Dopiero gdy mijaliśmy dworzec kolejowy domyśliłem się, że jedziemy do więzienia.

Wysiedliśmy przed małą żelazną furtką chełmskiego więzienia. Stał przy niej wartownik. Wprowadzono nas na parter jednopiętrowego budynku, gdzie postawiono nas pod ścianą, skąd po chwili, poprowadzono nas wąskim korytarzem w głąb budynku. Przy klatce schodowej skręciliśmy w lewo. Ja szedłem ostatni. Tuż przy schodach, oficer idący za mną przetrzymał mnie za kołnierz i skierował w dół. Nie wiedziałem o co chodzi, więc chwyciłem się ręką za poręcz. Uderzony w twarz i kopnięty z rozmachem w brzuch zwałem się po schodach o piętro niżej – do suteryny. Zrozumiałem, że jestem od kolegów oddzielony i to mnie przeraziło. Gdy zerwałem się na nogi – strażnik, „gospodarz” tej kondygnacji wziął mnie za ramię i popchnął do przodu. Za chwilę nadszedł eskortujący nas oficer SS i wskazał celę.

Strażnik otworzył drzwi i przekręcił kontakt. Zobaczyłem niewielką celę, a w niej na prawo od drzwi pryczę z desek i kilku leżących na niej mężczyzn. W tej chwili drzwi się za mną zatrzasnęły i zgasło światło. Stałem przez chwilę oszołomiony i w tym momencie, zostałem uderzony jakimś przedmiotem w ramię. Przedmiot ten z łoskotem upadł na posadzkę.

- Zostaw go - mruknął ktoś z pryczy.
- Chodź tu bliżej – powiedział ktoś drugi.

Oswojony z ciemnością, którą rozjaśniała smuga światła od lampy z dziedzińca, zbliżyłem się do leżących.

- Zdejmij buty i włącz tu na deski – zarządził ten, który kazał mi się zbliżyć.

Posłusznie spełniłem polecenie i usiadłem na pryczy.

- Chodź tu bliżej i kładź się!

Ułożyłem się obok „opiekuna”.

- Jak się nazywasz?
- Skąd jesteś?
- Ile masz lat?
- Czy masz coś do jedzenia?
- Może masz zapalić?

Pytania padały jedno po drugim, ja półprzytomny, zaskoczony tym, że oddzielono mnie od swoich nie mogłem słowa wykrztusić.

- No czego milczysz?

Zapytał i boleśnie skręcił mi rękę.

- Zostaw mnie pan!

Krzyknąłem i rozplakałem się.

- Daj mu spokój!

Warknął ktoś z kąta.

- Zielony!

Zawyrokował mój prześladowca, a zwracając się do mnie syknął:

- Tylko mi tu nie smaruj gówniarzu, bo chcę spać.

I odwrócił się do mnie plecami. Leżąc w milczeniu przelykałem łzy. Nie spałem. W celi było dość jasno. Sprawiała to lampa świecąca za oknem. Uniosłem głowę i spojrzałem w stronę drzwi.

W tym miejscu, gdzie stałem zaraz po wejściu do celi w smudze światła padającego z okna, leżał ciężki podkutny but. Domyśliłem się, że tym butem ktoś we mnie rzucił. Postanowiłem, że nie usnę, by zobaczyć czyj to but.

Zbudziło mnie bolesne uderzenie w plecy i słowa:

- Wstawaj gnojku do kibla!

Nade mną, z dużym pękiem kluczy w ręce, stał strażnik. Zerwałem się przerażony i szybko włożyłem buty. Rozejrzałem się po celi, było nas dwunastu. Dwu, wzięło kubel stojący w kącie przy drzwiach i wyszło na korytarz, reszta za nimi do ubikacji. Po powrocie usiadłem na pryczy a przy mnie usiadł jeden ze współtowarzyszy, mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. Duży chłop, dobrze zbudowany, który znów zaczął wypytywać. Domyśliłem się, że to nocny prześladowca i sąsiad z pryczy. Na jego nogach rozpoznałem but zaobserwowany pode drzwiami. Odpowiadałem niechętnie ograniczając się do słów: nic nie wiem, nie wiem za co itp.

Ujął się za mną starszy szpakowaty mężczyzna, który powiedział:

- Ty Kozik, daj mu spokój. Teraz do więzienia idą nie tylko za „mokrą robotę” i kradzieże. Nie każdy, musiał tak wcześniej zaczynać jak ty. Prześladowca mój rzucił mu w odpowiedzi obelżywe słowo, a do mnie krzyknął:

- Bierz się za sprzątanie!

Gdy wstałem i bezradny rozejrzałem się dookoła, wepchnął mi do ręki moją czapkę i rozkazał nią zamiatać posadzkę. Cofnąłem się przed jego natarczywością, nie wiedząc co mam robić. W tym momencie posłyszeliśmy stukot butów na korytarzu i zgrzyt klucza. W drzwiach celi stanął ten sam oficer SS, który mnie wczoraj przyprowadził. Wskazując na mnie palcem warknął:

- Kom!

Poprowadził mnie na górę, a następnie do furtki przed którą na ulicy stał samochód osobowy. Wepchnięto mnie do środka. Wóz szybko ruszył z miejsca i za chwilę znów byłem w tym samym pokoju co wczoraj.

Podczas drugiego przesłuchania, gdy zaczęto mnie pytać o kontakty organizacyjne, szczegóły ucieczki na Węgry i o broń zacząłem się plątać. Uderzony kilka razy w twarz, bity pejczem, chwilami sam nie wiedziałem, co mówię i czego ode mnie chcą. Straciłem rachubę czasu. O zmroku odwieziono mnie do więzienia.

Drugi dzień nic nie jadłem. Starszy szpakowaty mężczyzna zostawił dla mnie trochę zimnej, skisniętej zupy. Bolała mnie głowa. Nie mogłem siedzieć. Stałem lub chodziłem po celi. W nocy

jednak spałem.

Następnego dnia rano, po wypuszczeniu do ubikacji, strażnik zatrzymał mnie na korytarzu. Po chwili wręczył kubek, ścierkę i szczotkę polecając wmyć korytarz oraz posprzątać ubikację. Stał nade mną popędzając i strofując. Gdy skończyłem i złożyłem we wskazane miejsce kubek, ścierkę i szczotkę, powiedział:

- Koledzy twoi siedzą razem piętro wyżej. Co chcesz im powiedzieć?

Gdy spojrzałem zdziwiony, ponaglił:

- Pośpiesz się!

Proszę im powiedzieć, że byłem jeszcze raz przesłuchany.

- To im powiedziałem sam, ale co jeszcze?

- Proszę powiedzieć, że nic nie wiem.

Popatrzył na mnie i kazał wracać do celi. Tam znów przysiadł się do mnie przygodny „opiekun” interesując się szczegółami mojego życia. Gdy nie chciałem mówić, uderzył mnie. Większość współwięźniów patrzyła na to obojętnie, ale najstarszy z nich, ten co już raz za mną się ujmował, zagroził blondynowi, że go spierze jeżeli nie zostawi mnie w spokoju.

Zupę dano nam gdzieś około godziny 1600. Była zimna i zakiśnięta. Wyjaśniono mi, że są to resztki z kuchni żołnierskiej, stacjonującego na terenie więzienia szwadronu kawalerii Tottenkopf SS.

Następnego dnia rano zawieziono mnie ponownie na ulicę Dreszera. Historia się powtórzyła. Bity, z uporem powtarzałem to, co poprzednim razem, nie przyznając się do wznowienia kontaktów organizacyjnych z byłymi harcerzami, ani do tego, że próbowałem przekroczyć granicę węgierską. Czterotygodniową nieobecność w domu tłumaczyłem pobytem u rodziny w powiecie hrubieszowskim. Tak umówiliśmy się zeznawać w czasie, gdy udało się nam zmylić czujność pilnujących.

Przez następne dni, zabierany z celi do pomieszczeń gospodarczych więzienia, wraz z młodym Żydem, nosiłem węgiel, odgarniałem śnieg, albo sprzątałem stajnię w której stały konie szwadronu Tottenkopf SS. Nadzorował nas Niemiec, nie szczędząc kopniaków ani kija. Piątego lub szóstego dnia pobytu w więzieniu otrzymałem z domu paczkę. Był w niej chleb, smalec, cebula oraz bielizna. Strażnik powiedział, że brudną bieliznę, a także inne zbędne rzeczy może zabrać i przekazać matce, która czeka przed więzieniem.

Przysłaną z domu żywność, podzielono na celi pomiędzy wszystkich, nie pytając o moją zgodę. W rezultacie, nic z niej nie skorzystałem, a przypadająca z podziału moja część była o wiele

mniejsza od innych.

Kolegów zobaczyłem dopiero siódmego dnia. Spotkaliśmy się podczas rozładowywania platformy z węglem. Był duży mróz, a my gołymi rękami, zdejmowaliśmy ciężkie bryły węgla kamiennego, kładąc je na nosze. Znajdowaliśmy się niedaleko siebie, ale baliśmy się rozmawiać.

Tego dnia nadarzyła mi się możliwość ucieczki. Wraz z Żydami, zatrudnionymi przy wyładunku węgla, wypychałem za bramę więzienia puste wozy. Nikogo przy nas nie było. Przechodzili obok nas jacyś ludzie, mogłem się do nich przyłączyć, ale nie zdecydowałem się na ten krok, gdyż obawiałem się, że tym czynem zaszkodzę kolegom. Później tego żałowałem.

W celi moje współzycie z innymi stało się znośniejsze. Już mi tak nie dokuczano. Zorientowałem się z rozmów, że są to pospoliccy przestępcy, wielu recydywistów, a ten który mnie prześladował, był przed wojną skazany na 15 lat więzienia.

19 stycznia przyszedł po mnie ten sam oficer, który asystował przy przesłuchaniach i dowoził mnie do siedziby gestapo przy ulicy Dreszera. Kazał mi się ubrać i iść z nim. Ku mojemu zaskoczeniu zamiast do wyjścia poprowadził mnie na pierwsze piętro i wpuścił do celi w której siedzieli koledzy. Uścisnęli mnie serdecznie, zarzucając pytaniami, co ze mną robiono i dlaczego zostałem od nich oddzielony?

Okazało się, że żaden z nich nie był tyle razy przesłuchiwany, co ja. Radość z naszego spotkania nie trwała długo. Około godziny dwunastej do celi weszło trzech gestapowców i wyprowadzili nas na korytarz. Pod ścianą stało już czterech innych mężczyzn, skutych parami. Mnie przypadło iść w jednej parze z Jankiem.

Wprowadzono nas na ulicę, polecając maszerować środkiem jezdni w stronę dworca kolejowego. Na stacji załadowano nas do wagonu trzeciej klasy. Pilnował nas Niemiec z automatem. W sąsiednim przedziale jechała pozostała część eskorty, to jest czterech Niemców.

Gdy wysiedliśmy na dworcu lubelskim, ustawiono nas pod ścianą dworca od strony peronów twarzą do ściany. Staliśmy tam bardzo długo kostniejąc z zimna. Pilnował nas jeden Niemiec. Nie wiem; czy wartownik zmarł, - czy może dlatego, że wyładowywano w tym czasie z wagonów piechotę niemiecką i widok 10 mężczyzn ustawionych pod ścianą nie był wskazany, dość, że wprowadzono nas do wnętrza i w holu dworca ustawiono rzędem zakazując rozmów. Po godzinie lub może dłużej podszedł do nas nasz chełmski „opiekun” w towarzystwie przystojnego blondyna – podporucznika SS, który przyjrzał się nam, a następnie kazał wychodzić przed dworzec.

Przed głównym wejściem lubelskiego dworca kolejowego, czekał na nas samochód obudowany jak carska kibitka do którego nas załadowano, zatrzasnąjąc za nami drzwi zamykane od zewnątrz.

Byliśmy sami. Zaczęliśmy rozmawiać, zastanawiając się dokąd nas wiozą. Przez niewielkie okratowane okienka niczego nie mogliśmy zaobserwować. Jazda nie trwała długo. Wysiedliśmy na skrzyżowaniu ulic Świętoduskiej, Lubartowskiej i Kowalskiej, a następnie poszliśmy pieszo w stronę Zamku, gdyż leżące na ulicy zwały śniegu uniemożliwiały dalszą jazdę. Gdy potknąłem się o zaspę poczęstowano mnie kopniakiem, a Janka kolbą.

Stanęliśmy wkrótce przed bramą więzienia. Wchodziło się przez nią na pierwsze zewnętrzne podwórze, na którym na prawo od bramy stała duża chyba trzypiętrowa kamienica. Ominąwszy ją poprowadzeni zostaliśmy wprost do głównej bramy we właściwym gmachu. Zgrzyt kluczy oraz łoskot zamykanej pierwszej, drugiej a następnie wewnątrz murów trzeciej bramy zbudowanej z potężnych metalowych prętów, wydawały się być odgłosem zatraskującego się wieka trumny. Zatrzymano nas pomiędzy dwoma bramami: tą z metalowych prętów i następną też metalową, ale zbudowaną z jednolitej kutej blachy w prawym skrzydle tej bramy zainstalowana była furtka. Niemcy weszli w drzwi na lewo, a nas pozostawiono pod opieką strażnika więziennego - chyba Polaka. Skąd po chwili skierowano nas na prawo i ustawiono rzędem w jasno oświetlonym korytarzu. Naprzeciwko w niewielkim pokoju zza uchylonych drzwi widać było kilku siedzących przy stole oficerów.

Po chwili jeden z nich - młody podporucznik stanął przed nami i uśmiechając się drwiąco zmierzył nas wzrokiem. Stojącego przed nim Janka Sitarza uderzył w twarz. Jankowi spadła czapka, więc podniósł ją i włożył na głowę. Niemiec uderzył po raz drugi. Zorientowałem się, o co chodzi, zatem powiedziałem Jankowi, by zdjął czapkę. Hitlerowiec tym razem uderzył nie Janka, lecz mnie i to z taką siłą, że zatoczyłem się pod ścianę.

Po tym powitalnym geście podszedł do pierwszego z lewej, wysokiego mężczyzny i zapytał po polsku:

- Ty za co?
 - Ukradłem pas transmisyjny w młynie.
 - Da! Złodziej!
 - A ty?
- Zwrócił się do następnego.
- Ja zabiłem szwagra.
 - O! Bitte! Całkiem dobrze – roześmiał się.

I tak po kolei, aż zbliżył się do naszej szóstki i usłyszał, że aresztowano nas za zamiar przekroczenia granicy węgierskiej, każdego zdzielił pięścią lub kopnął. Kazik Olichwier, który odruchowo osłonił się ręką dostał najwięcej. Po tym wstępnym rozpoznaniu, polecił strażnikowi by

zdjął nam kajdany.

Następnie wzywano nas do wcześniej zaobserwowanego pokoju w którym siedziało sześciu Niemców. Tam po ustaleniu danych personalnych, zadawali pytania. Rejestr pierwszej czwórki przestępców kryminalnych, którzy z nami przybyli z Chelma przebiegał spokojnie. Następnie wzywano nas.

Spisując nasze personalia dowcipkowali i śmiali się. Szczególnie ubawił ich zwrot „Polnische Legionen”.

Kazik Olichwier, który wszedł pierwszy, wkrótce wyskoczył z pokoju wyrzucony potężnym kopniakiem. Tałanda stojący na przeciw wejścia, zauważył, że Niemcy biją i wyrzucają za drzwi wówczas, gdy wchodzący nie stanie na baczność i nie ukloni się. Gdy przyszła kolej na mnie, stanąłem wyprostowany i ukloniłem się grzecznie. Niemcy parsknęli śmiechem. Kazano mi obrócić się dookoła. Ubrany byłem w starą, porwaną i o wiele za dużą kurtkę szwagra, który był w niewoli, oraz w wielkie buty. Sam byłem szczupłym i niezbyt wysokim chłopcem.

Odpowiadałem na pytania patrząc z nienawiścią na ich rozbawione twarze. Gdy zapytano o matkę i małą siostrzyczkę, całą siłą woli hamowałem się, by nie pokazać co czuję. Siedzący pośrodku za stołem oficer nic nie mówił tylko bystro wpatrywał się w moją twarz. W pewnym momencie wyszedł zza stołu stanął przede mną i powiedział:

- Wyglądasz jak baranek, a patrzysz jak wilk.
- Raus! Wrzasnął i pchnął mnie w stronę drzwi.

Gdy zostaliśmy zarejestrowani poddano nas skrupulatnej rewizji. Dwóch strażników więziennych dokładnie sprawdzało nasze ubrania i obuwie. Następnie poprowadzono nas przez dziedziniec w stronę baszty. Weszliśmy do niewielkiego pomieszczenia zamkniętego kratą od strony korytarza, następnie do pierwszej celi na prawo. Miała ona kształt trójkąta. Jego najdłuższa ściana, była zewnętrznym murem baszty. Tam zostaliśmy do rana. Na drugi dzień zaprowadzono nas do jednopiętrowego budynku stojącego wewnątrz murów zamkowych - tuż za bramą, prowadzącą na dziedziniec zamkowy. Tam skierowano nas na I piętro do niewielkiej kancelarii, w której urzędował starszy pan. Tam raz jeszcze spisano nasze personalia i przyjęto w depozyt rzeczy osobiste oraz pieniądze. Ja nie miałem nic do oddania.

Stamtąd wprowadzono nas do łaźni mieszczącej się w tym samym budynku. Była ona wysłana drewnianymi kratami i wyposażona w prysznice zawieszane u sufitu. Tu kazano się nam rozebrać. Ubrania zabrali więźniowie obsługujący łaźnię oraz magazyn z odzieżą i bielizną.

Przed wejściem pod prysznicę z misy trzymanej przez więźnia, kazano nam zaczerpnąć brązowej mazi, która według objaśnienia więźnia miała nam zastąpić mydło. Gdy znaleźliśmy się pod prysznicami, w drzwiach kabiny gdzie znajdowały się krany zobaczyliśmy oficera SS. Patrzył na nas złośliwie uśmiechnięty puszczając zniechęcająco na nas lodowato zimną wodę. Przed tą wodą nie było gdzie się schronić. Prysznic tak był usytuowany, że obejmował całą powierzchnię łaźni. Trwało to tylko chwilę, ale zanim zdaliśmy ochłonąć z doznanego szoku, poleciał na nas wrzątek. Na szczęście stałem pomiędzy krańcowym zasięgiem sitek i nie wiele ucierpiałem. Trwało to krótko, ale było wyjątkowo perfidnym żartem ze strony Niemca.

Po umyciu się pod prysznicami, ponad trzy godziny trzymano nas nago. Bielizna, którą nam wreszcie wydano, była czysta, ale bardzo sfatygowana. Otrzymałem koszulę bez rękawa i kalesony bez jakiegokolwiek zapięcia czy zawiązania. Zwrócono nam również nasze ubrania, jeszcze gorące i śmierdzące jakimś środkiem dezynfekcyjnym. Swojej dużej kurtki jednak nie dostałem. Zostałem w butach, wojskowych spodniach i sukiennej bluzie.

Kiedy byliśmy już ubrani, przyszedł oficer SS. Krępy o czarnej czuprynie, z dużym, krogulczym nosem. Jak dowiedzieliśmy się później, znany był wśród więźniów pod przydomkiem „Krzywonos”. Wskazał palcem na mnie, Antka Wesołowskiego oraz Adolfa Kusego i kazał iść za sobą. Poprowadził nas w kierunku lewego skrzydła Zamku. Idąc za esesmanem rozglądałem się dookoła rejestrując w pamięci szczegóły otoczenia. Wolna przestrzeń dziedzińca - pomiędzy budynkiem gdzie mieściła się łaźnia, kuchnia, magazyny i kancelaria stanowiła - kwadrat, z rzadka obsadzony po jego rogach kasztanami. Był to wewnętrzny skwer, wokół którego biegł trotuar. Pośrodku skweru stała wieża strażnicza, a na jej szczycie w kabinie pod dachem żołnierz przy lekkim karabinie maszynowym. Od wschodu przy szczytowej ścianie podwórza - wysokiej i obudowanej na szczycie zwojami drutu kolczastego - znajdowały się parterowe budyneczki z jakimiś warsztatami

Wąską klatką schodową mieszczącą się w lewym skrzydle Zamku wprowadził nas „Krzywonos” na pierwsze piętro. Klatka schodowa od korytarza oddzielona była potężną kratą, za którą stał strażnik, który na widok hitlerowca donośnym głosem zawołał:

- Achtung!

Po czym otworzył kratę i za „Krzywonosem” skierował się korytarzem na lewo. Zatrzymaliśmy się przed drzwiami celi oznaczonej numerem 25. Były to mocne, kute drzwi, zabezpieczone dodatkowo kratą żelazną na zawiasach. W drzwiach był otwór z klapą zasuwaną z zewnątrz. Strażnik otworzył drzwi, a Niemiec kopniakiem z tyłu wepchnął nas do środka. Adolf chciał uniknąć kopniaka i wskoczył sam, musiał jednak wrócić, ustawić się i z tej pozycji kopnięty w tyłek

poleciał aż pod pryczę.

W małej celi stało na baczność w dwu szeregu około 20 mężczyzn, ubranych w szare jednolite ubrania więzienne. Stojący od prawej więzień krzyknął:

- Achtung!

Następnie zwracając się do Niemca, podał numer celi i stan więźniów. Niemiec bez słowa odwrócił się i wyszedł. Otoczyli nas mieszkańcy celi, pytając, skąd jesteśmy, jak się nazywamy i za co nas zamknęli itp. Odpowiedzi udzielali Antek i Adolf. Ja milczałem. Na szczęście do celi trafiliśmy godzinę przed obiadem. Do celi weszło dwu więźniów z kotłem zupy, trzeci przyniósł z białej miękkiej blachy trzy cynowe miski oraz łyżki, więźniowie ustawieni w kolejkę podchodzili do kotła po swoją porcję. Na obiad był „kapuśniak”; kilka listków siekanej kapusty, dwa kartofle i woda. Zjadłem to natychmiast. Ostatni raz jedliśmy przecież jeszcze jak w Chełmie.

Wieczorem strażnik wpuścił do naszej celi dwóch więźniów zatrudnionych w warsztatach: jeden pracował w stolarni, drugi w kuchni, pamiętam ich nazwiska: Siczek i Niedźwiedź. Pierwszy – wysoki, barczysty z krzaczastymi brwiami i przenikliwym spojrzeniem. Niedźwiedź – niski, też barczysty z szeroką dobroduszną twarzą. Mieli papierosy, którymi dzielili się z kolegami. Należało palić je ukradkiem.

Współwięźniowie wyraźnie ich adorowali, usłużnie i skwapliwie spełniając ich życzenia. Natychmiast też poinformowano ich o zmianach zaszłych w celi. Czułem przed nimi lęk. Indagowani przez Siczka udzieliliśmy niezbędnych informacji o sobie. Niedźwiedź tej rozmowie przysłuchiwał się w milczeniu.

Na drugi dzień, gdy jeszcze było ciemno zrobiono nam pobudkę i wypuszczono do ubikacji. Na śniadanie dostaliśmy litr czarnej kawy i 150 gramów chleba. Zjadłem to natychmiast, ale zauważyłem, że niektórzy współtowarzysze spożywali połowę porcji, drugą zachowując do obiadu, do zupy. Każdy swoją kromkę nosił przy sobie.

Tego dnia byłem również świadkiem apelu. „Krzywonos” ze strażnikiem obchodzili cele. Pierwszy przyjmował raport komendanta celi, drugi drewnianym młotkiem opukiwał kraty.

Sypialiśmy na piętrowych pryczach zbitych z desek. W dzień na pryczach nie było wolno siedzieć. Wszyscy rozmawiając krążyli po celi, kucali opowiadali dowcipy, politykowali, kłócili się lub grali w karty o chleb i papierosy.

Na drugi dzień po śniadaniu, wszedł do celi człowiek, spisujący wczoraj nasze personalia. Zapytał którzy to są sztubacy z Chełma. Antek z Adolfem wystąpili, ja się nie ruszyłem, gdyż

uważałem, że nie jestem żadnym sztubakiem.

- Chodźcie za mną – powiedział – przejdziecie do innej celi.

W tym momencie pociemniało mi w oczach, nie byłem zdolny wykrztusić słowa, zostałem znów odizolowany od przyjaciół. Całą noc płakałem. gdy w następnym dniu ów mężczyzna znów przyszedł, wyprowadził mnie na korytarz i zapytał dlaczego nie zgłosiłem się. Dodał, że załatwił nam celę, w której siedzą więźniowie polityczni.

Przeszliśmy korytarzem przez całą jego długość, zatrzymując się przed drzwiami celi oznaczonej nr 35. Drzwi tej celi stanowiły zakończenie korytarza na pierwszym piętrze od wschodniej strony w lewym skrzydle Zamku. Specjalnie podkreślałam usytuowanie drzwi do celi, gdyż miało ono duży wpływ na organizację życia wewnątrz celi. Gdy przekroczyłem jej próg, oszołomiła mnie nie tyle jej wielkość, co liczba znajdujących się w niej mężczyzn. Na nasz widok obróciły się wszystkie twarze, a Antek z Adolfem podbiegli, ściskając mnie serdecznie, jakbyśmy nie widzieli się od lat.

Cela tworzyła idealny kwadrat, miała cztery wysokie, okratowane okna wychodzące na wewnętrzny dziedziniec i drewnianą podłogę. Z okien widać było kaplicę, wieżę strażniczą i basztę. Na północnej ścianie celi znajdowały się wieszaki na ubrania. Tuż przy drzwiach stał metalowy kibel. Sienniki ułożone były na kształt kanapy przy wschodniej (szczytowej) ścianie, miski uszeregowane rzędem stały na długiej ławie. Ponadto wyposażenie celi stanowiły dwa większe i trzy małe stoły oraz kilka taboretów.

Po chwilowym zamieszaniu, wywołanym moim wejściem, życie mieszkańców wróciło do normy. Na stole pojawiły się karty, szachy i książki. Pan Materkowski², który mnie tu przyprowadził, przedstawił mnie starszemu celi. Ten zapisał moje imię i nazwisko, zapytał o wiek i zapoznał mnie z obowiązującym w celi regulaminem.

Oprowadzając mnie po celi – powiedział:

- Młody człowieku. Los nas uczynił przypadkowo współmieszkańcami jednej celi. Od tego jak będziemy ze sobą współżyli zależało będzie, czy życie nasze w warunkach więziennych będzie w miarę znośne czy koszarne. Obowiązuje nas wewnętrzna dyscyplina, koleżeńskość i wzajemna pomoc. Wszyscy tu jesteśmy sobie równi. Mamy też i obowiązki ustalone według listy. Są to: sprzątanie celi, wynoszenie kibla, dyżury przy drzwiach. Jest też, jak pan widzi, zorganizowane życie towarzyskie. Możemy grać w karty, w szachy, czytać książki, uczyć się, spacerować, ale w

² Pan Materkowski, imienia nie pamiętam, pełnił w więzieniu funkcję kierownika wewnętrznej kancelarii więziennej. Był on również więźniem i mieszkańcem celi nr.35. Pochodził z pow. chełmskiego. Siedział na Zamku jako zakładnik od pierwszych dni listopada 1939 r. Przed wybuchem wojny był sekretarzem gminy Wierzbica(?).

dzień nie wolno spać. Czas spoczynku nocnego określany jest regulaminem więziennym. Pańskie miejsce do spania znajduje się obok kolegów w prawym rogu sali pod oknem. Następnie pokazał mi schowki na książki urządzone pod blatami stołów i pod deską podłogi. Tam w razie alarmu chowano szachy, karty, względnie inne przedmioty. Poinformował również, że Niemcy o książkach i innych rzeczach ułatwiających życie w celi nic nie wiedzą. Zabronione też jest posiadanie noży, nożyczek i innych ostrych przedmiotów. Rzeczy te również należy starannie i dobrze chować.

Rozmowa odbywała się podczas spaceru dokoła celi. W tym czasie przy drzwiach pełnił dyżur jeden z więźniów. Przez malutką dziurkę w drzwiach obserwował on korytarz więzienny. Podprowadzony do drzwi spojrzałem przez dziurkę i stwierdziłem ze zdziwieniem, że w polu widzenia znajduje się cały korytarz i że widoczne jest wszystko co się na nim dzieje.

To zabezpieczało celę przed nagłą wizytą Niemców i pozwalało na uprzątniecie niedozwolonych przedmiotów. Starszym celi był Stefan Wojciechowski³. Przeżył wojnę i zamieszkał w Lublinie. Zmarł z początkiem lat siedemdziesiątych.

W celi przebywali więźniowie polityczni, znajdujący się w czasie śledztwa oraz zakładnicy z terenu Lublina i województwa. Po doświadczeniach chełmskich i pobycie w celi 25, tu poczułem się bezpieczniej. Siedziałem z ludźmi, których towarzystwo sprawiało mi wielką satysfakcję. Byli to profesorowie, księża, nauczyciele, lekarze, prawnicy, inżynierowie, funkcjonariusze administracji państwowej i inni.

Przez cały czas pobytu na Zamku, cierpieliśmy chroniczny głód. Jedzenia dawano mało i było ono obrzydliwe. Do dziś czuję wstręt do krupniku z kartoflami. Pod taką nazwą przez szereg tygodni dostawaliśmy lurę o stalowym kolorze. Sytuację ratował Polski Czerwony Krzyż, który dla zakładników i więźniów politycznych dostarczał chleb. Bochenek chleba o wadze jednego kilograma dzielony był na ośmiu więźniów. Podziałem zajmowała się specjalna komisja. Porządek obowiązywał również przed kotłem z zupą. W kolejce ustawialiśmy się według alfabetu.

Czasami zdarzały się kłótnie i komiczne sytuacje. Pewnego razu starszy pan, figurujący w spisie alfabetycznym tuż za mną, nieprawnie stanął w kolejce przede mną i w jego misce znalazła się duża kość. Nie mogłem ukryć oburzenia, wywołując wśród współwięźniów najpierw małe zamieszanie, a później dużo śmiechu. Poradzono mi, bym przeciw temu panu wniósł oficjalne oskarżenie z powództwa cywilnego.

3 Stefan Wojciechowski – nauczyciel. Był rodem z Rzeszowa. Pracował w Lublinie. Aresztowany został wraz z innym jako zakładnik w dniu 9 listopada 1939r. W owym dniu aresztowano większość pedagogów lubelskich, których pod pretekstem wznowienia nauki szkolnej, zwołano na zebranie do budynku Seminarium Nauczycielskiego, skąd wszystkich zabrano jako zakładników na Zamek Lubelski. Cieszył się on dużym szacunkiem wśród więźniów. Przeżył wojnę. Po wojnie był pracownikiem naukowym UMCS w Lublinie. Dzieje swojego pobytu na Zamku Lubelskim opisał w książce pt. *Cela Nr 35*.

W rozprawie wziął udział sędzia, prokurator, dwaj adwokaci i biegli. W dochodzeniu dowodowym przeprowadzonym przed rozprawą ustalono, iż była to kość końska oraz, że mój młody organizm z tytułu przywłaszczenia przez oskarżonego należytą mi porcji, poniósł ciężkie straty. Adwokaci popisali się krasomówstwem i erudycją prawniczą. W rezultacie „sąd” uznał winnym pana, który przywłaszczył sobie kość, ale biorąc pod rozwagę skruchę i przyznanie się do winy, skazał go tylko na pięć lat siedzenia na kiblu.

Myliłby się ten ktoś, kto, by na podstawie tego wydarzenia sądził, że pobyt na celi był sielanką. Stale byliśmy głodni. Każdego dnia kogoś porywano na badania. Często ten ktoś już nie wracał.

Prawdą jest jednak również to, że nie wszyscy w celi głodowali. Część zakładników z Lublina odżywiała się dość dobrze. mieli chleb, cukier, tłuszcze i papierosy, gdyż otrzymywali paczki.

Zauważalny też był podział mieszkańców celi, na pewne, trzymające się we wspólnocie towarzyskiej grupy. Najliczniejszą stanowili księża. Drugą byli pracownicy polskiej administracji państwowej. Trzecia to dość liczna grupa nauczycieli, reszta to ludzie różnych zawodów, którzy w zależności od zainteresowań, czy zapatrywań politycznych lub wyznawanej ideologii, woleli towarzystwo jednych, względnie drugich.

Grupie pracowników byłej administracji państwowej przewodził wysoki urzędnik Wojewody Lubelskiego – Przeździecki imienia nie pamiętam. W pamięci mojej pozostał jako człowiek pyszny i zarozumiały, traktujący wszystkich z góry, a jednocześnie bardzo pazerny, bo z własnej inicjatywy asystował przy rozdziale chleba, dostarczanego przez PCK, z obawy by komisja przypadkiem nie dokonała złego podziału. Skompromitował się awanturą, jaką uczynił przy podziale paczek żywnościowych, dostarczonych na celę luzem. Nie pamiętam dokładnie kiedy to było, ale wydaje mi się, że przed Wielkanocą z nieznanych nam przyczyn, administracja więzienia zarekwirowała wszystkie paczki, dostarczane więźniom politycznym. Zostały one rozpakowane i poddane skrupulatnej rewizji, w wyniku której wszystkie produkty ze wszystkich paczek zostały zmieszane razem i w takim stanie, proporcjonalnie do ilości więźniów, dostarczono je do cel dla podziału.

Starszy naszej celi oraz większość współwięźniów zdecydowała, że produkty podzieli się sprawiedliwie pomiędzy wszystkich. Były głosy sprzeciwu. Zauważyłem, że podnoszą je ludzie z otoczenia pana Przeździeckiego. Nie zważając na sprzeciw, zaczęto dzielić żywność. W momencie gdy ja podszedłem, po swój przydział, Przeździecki zawołał:

- Panowie! To niesprawiedliwe, bym miał się dzielić paczką z tym jak ten, ten - zakrzuszył się, wskazując palcem na mnie.

- On przecież żadnych paczek nie otrzymuje!

Na te słowa „wrosłem” w podłogę. Wróciłem do stołu i rzuciłem swoją porcję przed pana Przeździeckiego – mówiąc:

Masz pan! Najedz się!

W ślad za mną uczynili to moi koledzy. Zdarzenie to wywołało wśród więźniów oburzenie. Pod adresem pana Przeździeckiego, padło kilka dosadnych wyrażen i opinii. W wyniku tego zajścia, wielu współwięźniów od tej pory, nie zauważało jego obecności na celi.

Przeździecki i jego satelici, reprezentowali również swoistą opinię na temat klęski wrzesniowej. Z ust tego człowieka słyszałem słowa:

- Panowie! Winę za obecny stan rzeczy ponoszą ci, co nie rozumieli i nie rozumieją naszej misji dziejowej na wschodzie. Skoro nie chcieliśmy być razem z Niemcami, to w tej chwili jesteśmy dla Niemców zbędni.

W odpowiedzi od jednego z uczestników dyskusji pan Przeździecki usłyszał:

- Pan! Panie Przeździecki i panu podobni przygotowali ten los dla narodu. Widzę, że wrzesień niczego was nie nauczył, a szkoda, bo odpadniecie od narodu jak plewa od ziarna.

Dyskusja się zaostrzała, ale ja już jej dalej nie słuchałem, gdyż było by to źle widziane przez osoby uczestniczące w rozmowie.

Najpopularniejszym jednak tematem rozmów i dyskusji, była przewidywana wiosną konfrontacja zbrojna Francji i Anglii z Niemcami. Wszyscy byli pewni, że Niemcy zostaną pokonani oraz, że alianci upomną się o Polskę. Z tych wypowiedzi i horoskopów drwili panowie: profesor Uniwersytetu im. Stefana Batorego z Wilna – Wilk i dr Gosik. Obaj przewidywali klęskę Francji i możliwość dogadania się Anglików z Niemcami. Nie wykluczali też, ewentualności konfliktu zbrojnego tychże ze Związkiem Sowieckim.

Przez cały czas pilnie obserwowałem, słuchałem i odnotowywałem w pamięci to wszystko co mogłem zrozumieć. Było czego słuchać. „Prawdziwym” Uniwersytetem były dla mnie wieczorne „wykłady”, opowiadania i wspomnienia przekazywane przez któregoś ze współmieszkańców celi, którzy mieli co opowiadać i umieli to słuchającym przekazać. „Seanse” te odbywały się tuż po nakazie ciszy nocnej.

Wśród mieszkańców celi Nr 35, byli tacy, którzy wiele lat spędzili w Rosji, zwiedzili Azję Środkową i Daleki Wschód. Tacy co podróżowali po Skandynawii, Włoszech, Francji, co zwiedzili Meksyk i Karaiby. Tacy co studiowali w Wiedniu, w Zurychu, Heidelbergu, Gietingen, na Sorbonie i w Petersburgu. Tacy co przewędrowali drogi frontowe pierwszej wielkiej wojny światowej w

armiach zaborczych. Byli wśród opowiadających żołnierze legionów i armii Hallera. Tacy co wyzwalali Łotwę i zdobywali Kijów. Opowiadali ciekawie i barwnie, a co najważniejsze niewymuszenie.

Czasu mieliśmy dużo. Niektórzy uczyli się języków obcych, inni czytali, jeszcze inni grali w karty, warcaby i szachy. Tam właśnie nauczyłem się grać w szachy i preferansa. Tam również po raz pierwszy w życiu zetknąłem się z hazardem i namiętnościami grających w pokera. Grano o chleb, cukier w kostkach, sacharynę i o pieniądze. Byli tacy, którzy od kart odrywali się tylko na posiłki albo w razie alarmu, gdy na korytarzu pojawiali się Niemcy. Szczególną namiętnością gracza pokerzysty wyróżniał się ksiądz Terebus proboszcz z Siennicy Różanej. On grał o pieniądze. Niektórzy z graczy mieli pieniądze. Dużo pieniędzy.

Po mniej więcej dwutygodniowym pobycie w celi Nr 35 rozpoczęła się seria dalszych przesłuchań. Na badania zabierał nas gestapowiec Rudolf Neumann⁴ lub Schmidt, który również mówił po polsku. Oni obaj nadzorowali cele w lewym skrzydle więzienia.

Ja na badania byłem zabierany trzykrotnie. Przesłuchania prowadził Niemiec – gestapowiec w stopniu kapitana, asystował mu porucznik SS oraz żołnierz piszący na maszynie. Kapitan dość dobrze mówił po polsku. Gdy doprowadzono mnie na przesłuchanie do pokoju w którym „urzędował”, wskazał mi krzesło i zaczął od pytania:

- Czy chcesz wrócić do domu, do matki i małej siostrzyczki?

Skwapliwie to potwierdziłem, więc poinformował mnie, że to jest całkiem możliwe, o ile będę mówił prawdę. Wyraziłem gotowość zeznawania, przyrzekając, że będę mówił prawdę i tylko prawdę. Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu, a następnie polecił bym od początku powiedział wszystko o sobie, oraz o tym, czym się zajmowałem i co robiłem od 1 sierpnia 1939 roku do chwili aresztowania.

Zacząłem opowiadać, starając się ściśle trzymać wersji, składanych zeznań w Chełmie. Gdy byłem w połowie moich zeznań, sięgnął ręką do stojącej obok szafy i wyjął gumową pałkę, którą z lekka zaczął postukiwać w blat biurka. Gdy skończyłem wstał zza biurka, zbliżył się do mnie i na odlew uderzył mnie tą pałą. Odruchowo osłoniłem się ręką. Trafiony w łokieć krzyknąłem z bólu, a on wrzasnął:

- To wszystko do dupa! teraz mów prawda! Słucham!

Gdy zacząłem powtarzać to samo, złapał mnie za kołnierz, przegiął przez stojącą obok ławkę i przy pomocy żołnierza wezwanego z sąsiedniego pomieszczenia niemiłosiernie zbił, od nowa

4 Rudolf Neuman – gestapowiec znany z okrucieństwa. Biegłe mówił po polsku. Brał udział w egzekucjach więźniów.

żądając, bym mówił prawdę. Wzywany byłem trzykrotnie. Cały czas z uporem powtarzałem wersję swojego pierwszego zeznania. Wracalem do celi w oplakany stan - podobnie dzialo sie z Antkiem i Adolfem, aczkolwiek ten ostatni byl przesluchiwany tylko dwa razy.

Nie wiem, czy na skutek pobicia, czy przeziebienia, zaczalem chorowac. Najpierw odczuwalem bol gardla, pozniej obsypaly mnie wrzody. Na szyi mialem ich kilka, w tym jeden olbrzymi tuz u nasady czaszki. Cierpialem, mialem goraczke i jeczalem przez sen.

My, nowi, spalismy przy oknach. Zima 1940 roku byla mrozna, okna nieszczelne, wlatywal przez nie snieg. Marzlimy, lezac na przetartych siennikach pod cienkimi kocami. Tulac sie nawzajem do siebie, szukalismy ratunku przed zimnem.

Pan Materkowski, zalatwil mi wizyte u lekarza wieziennego. Lekarzem byl mlody Niemiec. Nie ceregielil sie wiele ze mna. Bez znieczulenia poprzecinal i powyciskal wszystkie wrzody. W czasie tego zabiegu tracilem przytomnosc, wijac sie z bolu. Nastepnie zalozyl mi opatrunki z gazy nasaczonej zolтым płynem i dal dziesiec tabletek z zaleceniem zazywania ich dwa razy na dobe. Po dwu dniach mialem zglosic sie powtornie.

W czasie choroby, ktorej towarzyszyła psychiczna depresja, doznalem wiele ludzkiej zyczliwosci. Wdziecnym sercem wspominam ojcowską troskę pana Materkowskiego, ksiedza Stachowicza – wikarego z Kalinowszczyzny, ksiedza Nowickiego i brata zakonnego, ktorego nazwiska nie pamietam. Ludzie ci dzielili sie ze mna chlebem i lekami. Ksiazdz Stachowicz do konca naszego pobytu wciskal mi codziennie do reki kostke cukru, polecajac bym ja ssał. Z zyczliwoscia do nas, mlodych, odnosil sie nauczyciel Wladyslaw Saklawski, a takze panowie nauczyciele szkól srednich z Lublina: Stagrowski, Wronski i Boleslaw Zimmer. Wiare w ludzka godnosc pomogl mi zachowac profesor Miller z Zamoscia i doktor weterynarii z Krasnegostawu Wacław Pietraszewski.

Zakończeniu sledztwa w stosunku do naszej wojslawickiej grupy, zawdzieczalismy chyba fakt, z pewnego dnia cala nasza szostka znalazla sie w celi Nr 35. Nie pamietam dokladnej daty, ale chyba w polowie marca z celi 29 mieszczonej sie na parterze naszego skrzydla przeniesiono do nas pana Talande, Janka Sitarza i Kazika Olichwiera. Bylimy wreszcie razem.

Urozmaiceniem w zyciu wieziennym byly organizowane raz w tygodniu polgodzinne spacery po dziedzińcu zamkowym. Chodziliemy wokol skweru, posrodku ktorego stala wieza straznicza, zachowujac miedyz soba odpowiednia odleglosc. Obserwowal nas Niemiec stojacy na wiezy, ktorys z gestapowcow i straznik.

Z jednym ze spacerow wiaze sie przykre wspomnienie. Przechadzajac sie wokol skweru,

mijaliśmy dość blisko okna cel w prawym skrzydle Zamku znajdujące się między basztą a kaplicą. Z tych okien, przez kraty, wyciągnięte ręce błagały o chleb i papierosy. Pewnego razu jeden z księży poprosił Kazika Olichwiera, aby wrzucił we wskazane okno kilka papierosów. Kazik wyraził zgodę i mijając okno, rzucał po jednym papierosie. Dwukrotnie trafił, za trzecim razem papieros zatrzymał się na wystającym murze. Zauważył to obserwujący spacerujących gestapowiec zwany „Krzywonosem”⁵. Gwizdek, krzyk – Kazik został pobity przez esesmana i zabrany z placu. Przyprawdzili go dopiero na drugi dzień wieczorem. Ledwo trzymał się na nogach.

Ksiądz, inicjator całego wydarzenia, zwrócił się do Kazika ze słowami pociechy i współczucia. W odpowiedzi usłyszał:

- W tej chwili od księdza współczucia nie potrzebuję. Powinien był ksiądz na placu powiedzieć gestapowcowi, że to było zlecenie księdza.

Następnego dnia odbyła się w naszej celi rewizja. Ustawieni w czwórszeregu pośrodku celi, patrzyliśmy bezradni, jak Niemcy rekwirowali papierosy, scyzoryki, karty i inne niedozwolone przedmioty. Rewizja zaczęła się od żądania, by ci co posiadają zakazane rzeczy i artykuły wystąpili z szeregu i wyłożyli je na stół. Wielu to uczyniło. Tym, część ich mienia zwrócono. Pozostałym zabrano wszystko, kwitując rekwirowane przedmioty kopniakami i biciem. Rewizja już się kończyła, gdy Neumann uderzył ręką w stół. Jak echo plasnęła o podłogę książka, która wypadła ze schowka. Stół został wywrócony, a wówczas posypały się inne książki. Esesmani wpadli we wściekłość. Strażnik mający pod opieką naszą celę – Polak – zbladł jak chusta. Neumann podskoczył do więźnia stojącego w pierwszym szeregu z prawej, krzyząc:

- Czyje to jest?!

Wysoki, siwy pan, rotmistrz Wojska Polskiego w stanie spoczynku, patrząc spokojnie na rozszalałego hitlerowca, odpowiedział:

- Nie wiem.

Wówczas Neumann uderzył go w twarz. Rotmistrz zachwiał się i pobladł straszliwie. Wydawało nam się, że rzuci się na Niemca, ale nie ruszył się z miejsca tylko powiedział:

- Durniu! Lepsi od ciebie przede mną na baczność stawali.

Neumanna ogarnął szal, bił go i policzkował, a następnie zabrał go z celi. Więcej już tego człowieka nie widziałem.

Podczas rewizji miałem ukrytą za cholewą buta talię kart. Na szczęście osobistej rewizji nie

⁵ Gestapowiec ten przezywany „Krzywonosem” z racji posiadanej dużej krogulczej nosa, był w stopniu podporucznika. Nazywał się Heinrich(?) Hoffman. Wyróżniał się sadyzmem i złośliwością.

przeprowadzano. Dotkliwie odczuliśmy stratę książek. Od tej pory możliwość zajęcia się czymkolwiek, bardzo zmalała.

Nie pamiętam, kto wpadł na pomysł robienia szachów z chleba. Żuliśmy przez kilka dni składkowy chleb przygotowując z tego masę, którą modelował w figury Janek Sitarz. Po wyschnięciu okazały się bardzo trwałe. Połowa w barwie naturalnej, połowa barwiona chemicznym ołówkiem.

Najczęściej grywałem w szachy z kolegami, ale też i z innymi. Często grywałem w szachy z panem Millerem, który mnie tej gry nauczył. Miałem wielką satysfakcję, gdy raz udało mi się z nim wygrać.

W naszej celi siedzieli ludzie nie tylko różnych zawodów ale i różnych narodowości, aczkolwiek polscy obywatele. Było dwóch Żydów, dyrektor jakiegoś banku – pan Rubens i nieznaney mi profesji, pan Sarna oraz Ukrainiec, Białorusin i były oficer armii carskiej, których nazwisk nie zapamiętałem.

Pana Sarne zapamiętałem z racji zabawnej historii jaka się wydarzyła z jego udziałem. Pan Wroński nauczyciel jednej ze szkół lubelskich - nasz współtowarzysz - był człowiekiem wesołym i towarzyskim. Mimo całego tragizmu naszej egzystencji, bawił nas i rozweselał wierszami, anegdotami, dowcipami i opowiadaniem zabawnych historii z życia szkoły.

Lubił też żartować z pana Sarny, ale bez złośliwości. Sarna miły starszy pan nie obrażał się, ale ponieważ mówił po polsku z silnym akcentem żydowskim, niektórzy z tego pokpiwali.

Pewnego wieczoru, tuż po ogłoszeniu ciszy nocnej, przed następnym wykładem Millera na temat roślinności alpejskiej, w mroku celi rozległ się przerażony szept:

- Panie Sarna! Panie Sarna! Wilk na sali!

Wszyscy wstrzymaliśmy oddech w piersiach czekając na reakcję. Odpowiedź nastąpiła natychmiast:

- Nu! Czego ja sze mam bać, kiedy obok mnie śpi leśniczy?

Cała celi buchnęła stłumionym chichotem. Dusiliśmy się pod kocami, aż strażnik interweniował, stukając do drzwi. Ktoś, kto będzie czytał te wspomnienia niech nie myśli, że było nam aż tak wesoło. Codziennie był ktoś na przesłuchaniu. Każdego dnia przez okno zaobserwować było można, wprowadzanych i wyprowadzanych z baszty skutych kajdanami więźniów. Co jakiś czas widać było z okien celi zmierzający do kaplicy komplet sędziowski w mundurach i pędzonych tam więźniów. W kaplicy bowiem urzędował wojskowy sąd doraźny, ferujący wyroki w imieniu III

Rzeszy.

Różnie bywało i w naszej celi. Wśród nas był szczupły niewysoki pan utykający na lewą nogę, którego nazywano kapitanem. Okazało się, że był to lotnik. Cieszył się wśród więźniów dużym szacunkiem.

Pewnego dnia wpuszczono do naszej celi młodego człowieka, który po zadomowieniu się oświadczył, że też jest lotnikiem. Bardzo ruchliwy, narzucał się wszystkim ze swoją osobą, usiłując nawiązać kontakty towarzyskie i zbliżyć się do niektórych więźniów. Unikał jednak kapitana, który w jednej z rozmów zapytał go wprost:

- Panie poruczniku, gdzie pan służył i w składzie jakiej formacji pan walczył?

Nie znam bliżej treści tej rozmowy, ani odpowiedzi tego człowieka, ale sądzę, że nie była ona dostatecznie precyzyjna, gdyż kapitan wyraźnie go ignorował, a pozostali więźniowie ograniczali z nim kontakty do niezbędnego minimum.

Skompromitował się ostatecznie w sposób całkiem przypadkowy. Choć większość mieszkańców celi chronicznie niedojadała, a inni mieli wiktuały przesyłane z domu i to w takich ilościach, że w czasie pamiętnej rewizji niektórzy czuli się zażenowani ujawnieniem posiadanych zapasów, to jednak nikt nikomu nie ukradł kęsa chleba. Od jakiegoś jednak czasu zaczęły zdarzać się kradzieże żywności. Wkrótce wyszło na jaw, że to on jest ich sprawcą.

Scena była przykra. Okazało się również, że człowiek ów nie był lotnikiem, lecz wtyczką gestapo. Wkrótce został zabrany z naszej celi. Fakt ten do końca naszego pobytu w więzieniu był przyczyną zaostrożonej podejrzliwości w stosunku do każdego nowego mieszkańca celi.

Będąc młodym człowiekiem (21 marca 1940 roku kończyłem w więzieniu 17 lat), pilnie obserwowałem ludzi, wyciągając z tego wiele pouczających spostrzeżeń i wniosków. Obserwacje moje, znajdowały potwierdzenie w zachowaniu się wielu ludzi, w których ekstremalne warunki bytowania wyzwalają najniższe instynkty. Znalazłem też potwierdzenie dla starego porzekadła, że „prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie”. Znalazło ono potwierdzenie nawet wśród naszej gromadki.

Jeden ze współoskarżonych w czasie naszego pobytu na Zamku, otrzymywał paczki. Możliwe to było, ponieważ jego ojciec podjął pracę w tzw. Granatowej Policji, powołanej przez Niemców na terenie Generalnej Guberni. Gdy pierwsza paczka przyszła na jego nazwisko, otoczyliśmy kołem szczęśliwego adresata z zainteresowaniem czekając na jej zawartość. Niestety! Reakcja kolegi była zaskakująca. Oświadczył, że to jego paczka i że matka nie po to ją przysłała, by on się jej zawartością dzielił, lecz po to by mógł przeżyć. Wypowiedź ta zmroziła nas. Nie wierzyliśmy

własnym uszom. Spojrzeliśmy po sobie i w milczeniu odeszliśmy pozostawiając w spokoju paczkę i jej właściciela. Od tej pory, kolega ten przestał dla nas istnieć. Do tego wydarzenia, zwykli byliśmy, dzielić się każdym kęsem. Tym bardziej więc jego egoistyczna postawa, jako człowieka, kolegi i harcerza była szokująca.

Przykrość nasza była tym większa, gdy Janek wśród wiktuałów jakie otrzymał Adolf, rozpoznał gliniany garnuszek. Był w nim smalec zesmażany z cebulą. Z tego wysnuliśmy wniosek, że paczka musiała być składkowa. Istotnie tak było. Gryps jaki dotarł do naszych rodzin informował, że siedzimy razem. Ponieważ tylko ojciec Adolfa - z racji służby w granatowej policji – miał możliwość wysłania synowi paczki, na jej zawartość składały się wszystkie nasze matki.

Od tego czasu minęło już ponad czterdzieści lat. Janek Sitarz poległ jako żołnierz AK pod Lasowcami, Kazik Olichwier aresztowany po raz drugi rozstrzelany został w obozie, ci jednak co przeżyli wojnę z przykrością wspominają ten wstydlivy epizod. Dziś, trudno sobie wyobrazić ile niskich instynktów, wyzwała w człowieku głód i lęk przed śmiercią.

Jak już wspominałem, po przeniesieniu nas do celi Nr 35, przydzielono nam miejsca do spania pod oknem, w prawym najzimniejszym rogu celi. W zimie było tam wręcz tragicznie. Stąd być może moja choroba wrzodowa. Wiosną, to miejsce stało się bardzo atrakcyjne. Natomiast w głębi sali, a tym bardziej w pobliżu kibla, przy obecności 70 do 78 więźniów, wraz z narastającym ciepłem, było duszno, a smród uryny aż dławił.

Któregoś kwietniowego dnia, daty dziennej nie pamiętam, jeden ze współwięźniów, mecenas Majewski z Lublina, doszedł do wniosku, że lepiej mu będzie pod oknem i wraz z trzema najbliższymi współwięźniami z pobliża kibla przenieśli się na nasze miejsca pod okno.

Doszło do awantury. Interweniował w naszej sprawie Starszy celi, dr Pietraszewski, pan Materkowski i poseł Józef Hołysz. W wyniku powszechnej dezaprobaty dla ich poczynań, zmuszeni zostali do powrotu na stare miejsce. Zachowanie tych czterech było tym dziwniejsze, ponieważ byli oni stosunkowo niedawnymi mieszkańcami naszej celi. Natomiast nasza szóstka zaliczała się do najstarszych więziennym stażem. Ponieważ byliśmy młodzi, grzeczni i układni, stąd mniemanie tych panów, że warunki bytowania mogą sobie polepszyć naszym kosztem. Mentalność tych panów najlepiej charakteryzowały słowa pana mecenasa Majewskiego:

- Ja mam rodzinę! Ja chcę przeżyć!

Zachowanie tych panów nie było dla nas budującym przykładem. Prawdopodobnie, gdyby ten pan zwrócił się do któregoś z nas z prośbą nie wykluczam, że mogła być spełniona, ale brutalny nacisk spotkał się z wręcz odwrotną reakcją, popartą opinią większości.

Może to się wydać dziwnym, ale szykany Niemców, ich buta, arogancja i brutalność, nie bolały tak dotkliwie, jak negatywne zachowanie się przyjaciela, współwięźnia, czy polskiego strażnika będącego na niemieckiej służbie. Z pobytu na Zamku utkwiło mi w pamięci niecodzienne przeżycie, jakim było uczestniczenie w nabożeństwie w kaplicy zamkowej w dniu Wielkanocy. Przez obstawiony esesmanami dziedziniec zaprowadzono nas do kaplicy. W nabożeństwie uczestniczyli tylko więźniowie polityczni. Dużym przeżyciem dla mnie było chóralne odśpiewanie Serdeczna Matko. Widziałem wówczas zalane łzami twarze więźniów i wściekłe spojrzenia Niemców. Do dziś nie mogę sobie wyjaśnić motywów tej niemieckiej pobłażliwości, ani powodu zgody na nabożeństwo.

Dzień Wielkanocy kojarzy mi się również we wspomnieniach z naszym świątecznym śniadaniem. W piątkę mieliśmy jedno jajko, kawałek kielbasy i chleb. Dzieliliśmy się jajkiem, składając sobie życzenia; „Sto lat zdrowia, beczkę wina, szybkiej wolności i karabina”. Z satysfakcją odnotowuję fakt, że w tym dniu wielu poważanych i zacnych ludzi – współwięźniów, przychodziło do nas z życzeniami, dzieląc się tym co który miał. Natomiast nasz kolega schowany w kącie za siennikami, obrócony do nas plecami, obzerał się zawartością paczki jaką przed trzema dniami mu doręczono.

Któregoś dnia, wiosną, na szczycie baszty ujrzeliśmy Niemców w galowych mundurach. Jacyś hitlerowscy dygnitarze wizytowali Zamek. Oprowadzał ich komendant więzienia Dominick. Następnie cała świta zwiedzała cele, weszła również do naszej. Oglądali nas jak egzotyczne zwierzęta w klatce. Jeden z Niemców w wizytowym mundurze z czerwonymi wyłogami zatrzymał się przede mną i o coś zapytał. Neumann, wyjaśniając, użył zwrotu: „Polnische Legionen”. Niemcy parsknęli śmiechem, czyniąc między sobą ironiczne uwagi na nasz temat.

Według wypowiedzi niektórych mieszkańców celi, odwiedzinami swoimi „zaszczycił” nas Gubernator Frank w asyście Gubernatora Distriktu Lubelskiego i innych przedstawicieli hitlerowskich władz w Lublinie.

Po tej wizycie, nastąpiła niebywała dotąd rotacja mieszkańców celi. Nocą lub wczesnym świtem zabierano po kilku lub kilkunastu ludzi, którzy już nie wracali, a w ciągu dnia doprowadzano nowych. W tym mniej więcej czasie umieszczony został na naszej celi proboszcz z Wojsławic ks. Jan Kozak. Dzięki niemu otrzymaliśmy najświeższe wiadomości o naszych rodzinach.

Od nowo przybywających, dowiedzieliśmy się o najeździe hitlerowców na Danię i Norwegię. Żyliśmy wszyscy jak w gorączce, komentując te wydarzenia i snując horoskopy na przyszłość. Oczekiwaliśmy z niecierpliwością konfrontacji zbrojnej z Francją i Anglią, licząc na klęskę Niemiec. Z zachowania się Niemców, wyrazu ich twarzy, usiłowaliśmy wyczytać aktualną sytuację

na Froncie. Niestety, Niemcy byli weseli, pewni siebie i agresywni w stosunku do więźniów.

Nie pamiętam dokładnie daty, prawdopodobnie 20 maja do celi weszło trzech esesmanów. Jeden z nich odczytał nazwiska: Wesołowski, Olichwier, Sitarz, Kusy i Stopa. Zaprowadzili nas na pierwsze piętro obok kaplicy. Tu w małym holu, twarzą do ściany, staliśmy bardzo długo. pilnowali nas na zmianę Neumann i Schmidt. Nie wolno było rozmawiać ani poruszać się. Późnym popołudniem, wprowadzono nas do wnętrza kaplicy, gdzie za stołem, nakrytym zielonym suknem, siedzieli oficerowie. Staliśmy w szeregu przed niemieckim sądem doraźnym. Odczytano nam wyrok: najpierw po niemiecku, a następnie przetłumaczono. Zostaliśmy skazani na pobyt w obozie pracy.

Po tej farsie zaprowadzono nas z powrotem do celi. Zaskoczeni byliśmy pominięciem w sądowej rozprawie Tałandy. Opinie więźniów na temat wyroku były podzielone. Jedni mówili, że lepsza śmierć aniżeli niemieckie obozy pracy, inni byli zdania, że ten wyrok daje nam pewne szanse. My sami należeliśmy do optymistów. Doszliśmy do wniosku, że skazanie na obóz to opuszczenie Zamku, a transport to możliwość ucieczki. W słuszności naszych przewidywań utwierdził nas fakt ucieczki z Zamku więźniów skazanych na śmierć, Siczka i Niedźwiedzia, z którymi przebywałem w celi Nr 25. Uciekli w nocy przez mur zamykający wschodnią stronę dziedzińca. Ucieczka zaostriżyła rygor więzienny, wzmogła czujność Niemców i częstotliwość opukiwania krat w poszczególnych celach.

Miesiąc czerwiec wypełniło nam oczekiwanie na deportację do obozu i wyniki wojny z Francją, Anglią, Belgią i Holandią. Wiadomości o działaniach frontowych były bardzo skąpe i, co gorsza, sprzeczne. Wierzyliśmy jednak, że na linii Maginota Niemcy połamią sobie zęby i to będzie punkt zwrotny w toczącej się wojnie.

Niestety, pewnego dnia flaga na baszcie i wizyta pijanych Niemców w celi odebrała nam resztę nadziei. Niemcy triumfowali. Byliśmy załamani. Wydawało się nam, że już wszystko stracone.

29 czerwca strażnik więzienny w czasie naszej wędrówki do ubikacji dyskretnie poinformował Taładę, że prawdopodobnie jutro lub po jutrze odjedzie z Zamku transport więźniów do obozu i że zabrana zostanie nasza piątka. Wieczorem spotkała nas miła niespodzianka: pan Rubens zainicjował wśród więźniów zbiórkę pieniędzy dla nas, doktor Waclaw Pietraszewski zaś, pożegnał naszą grupę w imieniu wszystkich. Swoje wystąpienie zakończył wierszem, z którego, niestety, zapamiętałem tylko pierwszy fragment:

Wiekem najmłodszy, a najstarsi w celi.

Żegnamy was bracia, drodzy przyjaciele.

Nie spaliśmy całą noc licząc się z ewentualnością wywózki nocnej. Rankiem po pobudce i wędrowce do ubikacji, przyszło po nas czterech esesmanów z Neumannem na czele. Nasz nauczyciel Mikołaj Tałanda, pozostawiony został w celi. Na wewnętrznym dziedzińcu, dołączono innych więźniów. Straż nad nami przejął gruby esesman o wylupiastych oczach, którego widziałem po raz pierwszy. Ustawiając nas czwórkami, trzymał w ręku rewolwer, którym wymachiwał nie szczędząc kopniaków i razów pięścią. Po przeliczeniu kolumny stanął w rozkroku na tle bramy i wymachując pistoletem krzyczał:

- Najmniejsza próba ucieczki, a kula w krzyż!

Po chwili wyprowadzono nas na zewnętrzny dziedziniec i załadowano do samochodów ciężarowych, krytych plandekami. Przy burtach wozów miejsca zajęli Niemcy i na rozkaz „Krowy” transport ruszył.

Nie jechaliśmy zbyt długo. Gdy wozy zatrzymały się i rozkazano nam wysiadać, okazało się, że jesteśmy na towarowej stacji kolejowej - przy rampie, gdzie stał pociąg składający się z kilkunastu bydłowych wagonów. Z wagonów tych przez kraty w okienkach wyglądali ludzie.

Nasz samochód jadący w kolumnie jako ostatni, przy ustawianiu wozów tyłem do wagonów, znalazł się na przeciw ostatniego wagonu. Cały teren osłaniały posterunki esesmanów. Pasażerami z samochodów kolejno zapelniano wagony. Dwa samochody ludzi mieściło się w jednym wagonie. Stanowiło to około osiemdziesięciu mężczyzn. Ostatnie dwa samochody zapełniły końcowy wagon. W wagonie do którego myśmy trafili nie było w okienkach krat ani metalowej okiennicy. Okna były „zabezpieczone” kolczastym drutem. Z łoskotem zasunięto za nami drzwi wagonu i zatrzaśnięto rygiel.

Chłodny był ten poranek pierwszego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że czym dalej odjedziemy, tym trudniejsza będzie ucieczka i dłuższa droga do domu. Zdecydowany byłem na wszystko. Oświadczyłem kolegom, że będę usiłował uciekać bez względu na konsekwencje.

Nasza grupa działając solidarnie, bardzo szybko opanowała miejsce pod tylnym okienkiem z prawej strony wagonu (patrząc w stronę lokomotywy). Wsiadając do wagonu zaobserwowałem, że tzw. brek czyli budka stanowiąca przybudówkę do tylnej ściany wagonu znajduje się z przodu tj. od strony tej, gdzie znajduje się lokomotywa.

Obserwacje te, szybko zarejestrowałem w pamięci mając na uwadze nasze postanowienie, że będziemy uciekali przy pierwszej nadarzającej się okazji. Coś mi mówiło, że taka okazja jawi się teraz. Ściśnięci razem, zaczęliśmy rozważać naszą sytuację. Podzieliłem się z kolegami swoimi

spostreżeniami oraz wskazując na druty kolczaste, którymi było zamotane okienko powiedziałem, że to można wyrwać...

- Czym? – zapytał Adolf.

- Tym – wskazałem na trzymany przez niego cienki bawełniany pled.

Zwrócili na mnie pytający wzrok. Widząc w nim oczekiwanie, wyjaśniłem:

- Zwiniemy pled wzdłuż, w wałek i zakładając za pojedyncze druty będziemy ciągnąć. Mam nadzieję, że damy radę je zerwać. Gdy tego dokonamy, będziemy na zewnątrz wydostawać się przez to okienko i skakać z pociągu.

Zatrząskanie drzwi, krzyki Niemców i gwizdki kolejarzy dowodziły, że za chwilę ruszamy. Z emocji byłem półprzytomny. Nie zdawałem sobie sprawy ani z trudności zamierzenia, ani ze skutków planowanego czynu. Wiedziałem tylko, że muszę uciec, i wierzyłem, że mi się to uda. Pociąg ruszył około wpół do szóstej rano. Szedł początkowo dość wolno. Gdy minęliśmy stację i most nad Bystrzycą, pled był już założony za pierwszy drut. Poszło to łatwiej aniżeli przypuszczaliśmy.

Nasze krzątanie się przy okienku wywołało u współwięźniów wręcz nieoczekiwaną reakcję. Zaczęli protestować przeciw wrywaniu drutów, motywując to groźącymi dla pozostałych represjami. Jeden z nich usiłował nam przeszkodzić. Odepchnięty dość brutalnie przez Kazika Olichwiera usłyszał:

- Pan też może z tej okazji skorzystać.

- Tędy zamierzamy uciekać – wyjaśniłem.

- Niemcy będą się mścili na nas - zawołał.

- To uciekaj pan z nami – dodałem.

Bardzo szybko uporaliśmy się z drutami. Okazało się, że gwoździe nie trzymały zbyt mocno. Przy pomocy Kazika i Janka nie bez trudu przecisnąłem się na zewnątrz. głową do przodu. Z tej niewygodnej pozycji usiłowałem przetrzymać się lewą ręką okapu dachu. Z przerażeniem czułem, że się nie utrzymam. Gdy miałem kolana poza okienkiem, rozpaczliwym ruchem odepchnąłem się od ściany wagonu i poleciałem głową w dół z dość wysokiego nasypu w krzaki.

Pociąg w tym czasie pokonywał małe wzniesienie i niewielki zakręt w prawo. Dopiero po chwili poczułem straszliwy ból prawego barku i przedramienia. Myślałem, że zemdleję. Dopiero po paru minutach lewą ręką uniosłem dłoń prawej i założyłem kciuk bezwładnej kończyny za pasek spodni. Wdrapawszy się na nasyp i tory po lewej stronie (na kierunku od Lublina ku Warszawie),

zobaczyłem na lewo dość odległy las i przed sobą leżącą równolegle do torów wioskę. Tam postanowiłem szukać ratunku. Zdecydowałem się, że wejść na podwórze okazałego gospodarstwa otoczonego drewnianym płotem z wrotami wjazdowymi i furtką dla pieszych.

Niestety! Gdy tylko zbliżyłem się do furtki od strony zabudowań wypadły dwa psy, których zachowanie się dało mi do zrozumienia, że tej przeszkody nie pokonam.

Odszedłem więc od furtki kierując się w stronę lasu i tuż zaraz zastukałem do samotnie stojącej chaty. Otworzył mi mężczyzna, który patrząc na mnie z przerażeniem, usiłował przede mną zamknąć drzwi. Byłem jednak szybszy. Między próg a drzwi wstawiłem nogę, prosząc:

- Niech mi pan pomoże.

Niechętnie, ale przepuścił mnie w głąb mieszkania. Wszedłem do niewielkiej kuchenki, gdzie z kolei stanąłem przed przerażoną kobietą wpatrującą się we mnie szeroko otwartymi oczyma. Nic nie mówiąc, sięgnąłem ręką po stojące na stole lustro i dopiero wówczas zrozumiałem reakcję tych ludzi. Całą twarz miałem umazaną krwią i ziemią. Ponadto krwią zbroczone miałem ubranie oraz trupioblądą twarz.

Nie bawiąc się w konwenanse powiedziałem, że przed godziną uciekłem z transportu więziennego i że prawdopodobnie przy wyskakiwaniu z wagonu zgruchotałem prawe ramię i że proszę ich o pomoc.

Milczeli zaskoczeni, patrząc w milczeniu na siebie i na mnie. Nie czekając na ich decyzję poprosiłem by mi pomogli zdjąć z prawego ramienia bluzę i umyć się. Głowę i twarz umyła mi kobieta, przy jej pomocy zdjąłem bluzę. Mężczyzna stał przy oknie obserwując drogę. Całym wysiłkiem hamowałem się by nie wyć z bólu. Ponowiłem prośbę o pomoc.

- Nic panu nie pomogę, powiedział gospodarz. Nie mam koni by pana zawieść do doktora.

Nie wiem też, czy to by wyszło panu na zdrowie – zakończył sceptycznie. Mam jednak dla pana radę. Niedaleko stąd leży wieś Zemborzyce Podleśne. W tej wsi mieszka człowiek, który potrafi składać złamane kości i nastawiać zwichnięcia. Leczy on również bydło, konie, może też pomoże panu. Nazywa się on Józef Gano.

Wypytałem dokładnie o drogę i dom tego człowieka, włożyłem przy pomocy gospodarzy bluzę, chorą rękę zawiesiłem na temblaku i podziękowawszy za pomoc - ruszyłem w drogę...

Dziś wiem, że wieś, w której się znalazłem po wyskoczeniu z pociągu, to Stasin Polny, a człowiek udzielający mi pierwszej pomocy nazywał się Franciszek Gano i był kuzynem „lekarza”, do którego mnie skierował.

Drogi ze Stasina Polnego do Zemborzyc Podleśnych nie pamiętam. Nie wiem też jak długo tam szedłem. Chwilami traciłem świadomość miejsca i sytuacji, w jakiej się znalazłem. Mimo tego stanu do mieszkania Józefa Gano trafiłem. Pan Gano bez słowa odkrył moje ramię – było już bardzo opuchnięte. Obmacał je i powiedział:

- Ma pan złamane i wybite ze stawu przedramię, a także prawdopodobnie pęknięty obojczyk. Przy tak skomplikowanym złamaniu nie jestem w stanie panu udzielić pomocy. Tu potrzebny jest chirurg.

Odpowiedź ta ostatecznie mnie załamała. Usunąłem się bezwładnie na krzesło i chwile milczałem zbierając myśli. Zdecydowałem się ujawnić prawdę. Patrząc mu w oczy powiedziałem:

- Panie Gano! Jestem więźniem z Zamku Lubelskiego. Uciekłem z transportu. Przy skoku z wagonu doznałem tych obrażeń. Moje życie jest w pana rękach. Jestem z powiatu chełmskiego, nikogo tu nie znam. Niech mnie pan ratuje. Może się kiedyś panu odwdzięczę.

2 lipca znalazłem się na oddziale chirurgii urazowej szpitala SS Szarytek przy ul. Staszica w Lublinie. Zabiegu dokonał i leczył mnie dr Adamski. Otoczony troskliwą opieką ze strony lekarza i SS. Szarytek szybko wracałem do zdrowia. W pierwszych dniach sierpnia, poinformowano mnie dyskretnie, że szpital obejmują Niemcy, więc muszę go natychmiast opuścić. Zaopatrzony na drogę oraz poinformowany o możliwościach zatrzymania się na odpoczynek w drodze, pod wskazanymi adresami, po trzech dniach wędrówki po kryjomu wróciłem w rodzinne strony. Po skontaktowaniu się z rodziną, która poinformowała mnie, że jestem poszukiwany przez gestapo, znalazłem schronienie u wuja Łukasza Bubely we wsi Skomorochy Małe pod Grabowcem. Tam pod opieką życzliwych mi krewnych kontynuowałem zalecone mi przez dr Adamskiego zabiegi usprawniające kontuzjowany bark.

Życzliwości pana Józefa Gano oraz wójtowi gminy Głusk panu Stanisławowi Bobkiewiczowi⁶, siostrom Szarytkom i panu dr Adamskiemu zawdzięczam, że żyję i władam ręką.

⁶ Stanisław Bobkiewicz wójt gminy Głusk, aresztowany wraz z żoną w czerwcu 1941 roku, zginął zamordowany w Oświęcimiu.